



PRENUMERATA ROCZNA 2,50 z PRZESYŁKĄ 3 zł..

Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

ZAWIEJA.

Z rykiem, świstem, jakąś piekielną radością i chichotem zerwał się wicher, porwał w swe gwałtowne ramiona tumany sypkiego śniegu, zakolysał nimi i z całej siły cisnął w przestrzeń.

Zadrżała ziemia...

Potężne dęby zgięły się w czołobitnym pokłonie.

• Szum się zerwał trwożny: biada... biada...

Odpowiedział mu jęk.

W jednej chwili skłębiło się, zakotłowało.

Niebo i ziemia zlały się w jedną, białą, bezkształtną masę.

Rozszalały huragan to wzbijał się wysoko w chmury, to chylił ku ziemi, zrywał czystą, śnieżną, nieskazitelną szatą i znów rozpoczynał swój gwałtowny, straszny, dziki, żywiołowy ton. Zwierzęta tulili się w swych kryjówkach, rzucając trwożne spojrzenia na świat Boży.

A wicher szalał, wyl.

Jak zgraja zgłodniałych, burchających wilków rzuca się ze skowytami i ujadaniem na żer, zatapia w nim spragnione krwi kły i pazury, tak rozszalały wicher rzucał się na ziemię, szarpał śnieg i w bezsilnym gniewie ciskał w chmury.

Nad światem rozciągnęła się nawałnica zimowa.

A w cichym dworcu rodzina, oczekując powrotu ojca, smutne spojrzenia rzuca za okno, gdzie szaleje burza śniegowa.

Na kominku płonie wesóły ogień, trzaskają iskry. Jasne głowy chłopców pochylone nad książkami. W rękach matki i córki migają igły, białą się robótki. A najmłodsza Wandula grzecznie bawi się lalką. Lecz ani praca, ani czytanie nie idzie.

Wszystkich nurtuje jedna myśl — kiedy przyjedzie ojciec?

Wloką się leniwie godziny oczekiwania, niepokoju, trwogi...

...W zawiązanym polu szuka drogi dzielny przyjaciel człowieka — koń. Siedzący w sankach mężczyzna zmarznięty, obsypany śniegiem, smagany wichrem, wśród białego, mroźnego morza nie umie się orjentować, stracił kierunek i bezradny zdaje się na instynkt zwierzęcia.

Myśl podróżnego wyrwa się do swoich — kochanych, którzy z utęsknieniem oczekują na niego.

Zdaje mu się, że widzi całą rodzinę skupioną koło stołu, czuje błogie ciepło kominka, miłą atmosferę domową i słyszy radosny głos dzieci.

Wtem gdzieś hen, daleko wśród jęku wichru rozległo się ponure, groźne wycie...

Pryśł uludny miraż — złudzenie...

Bezradny, wyczerpany opadł w głąb sani... Jeszcze chwila... śmierć... już... już w nim życie zamiera. Gdzieś w głębi duszy poczuł rozpaczliwe wołanie ukochanej córki. Bolesny dreszcz przeszył ciało nieszczęśliwego. Prerażony koń zaczął się rzucać, stawać dęba, strzyc uszami, szarpać zaprzęg.

Bezsilny gniew opanował podróżnego. Ściągnął lejce, chciał zmusić konia do pośpiechu, lecz zmarznięte ręce odmówiły posłuszeństwa.

A śnieżycy wciąż zasypywała oczy, tamowała oddech, przejmowało zimno do szpiku kości, dokuczał głód, a ratunku żadnego.

Od kilku godzin zmęczony człowiek i zwierzę, rzućmy na pastwę losu, borykają się z zawieją kręcąc wódkę po białej pustyni bez wyjścia.

Lęk głuchy szarpnął za serce podróżnego i ciężko opadł na piersi...

Kłęby śniegu runęły na sanki... zgrzytnął wicher... zawył... zahuczał... i znów runął śnieg... zabłąkanego otoczyła noc... drżący głos dzwonka umilkł...

I zapanowała cisza...

Coś blisko zaczęło się na polu...

Koń zaczął chrapać i nagle wpadł w zaspę po brzuch. Podróżny zerwał się z sań, wyteżył wzrok... chwala Ci, Boże! — to nasza grusza polna!

Ucichł huragan. Na ziemię bezszelestnie spływały białe płatki. Zdaleka zamigotały światła wioski.

Kresowianka.

Tęsknota za wiosną.

Cicho i pusto na świecie.

Wszelkąd zima w okowy z lodu i zimna zakuła ziemię, która skostniała świeci gdzieś tam zamrzniętymi tafelami wód. Ogromne białe płaszczyzny niby dywanem zasłaly biedną, szarą ziemię. Drzewa, podobne swą bezlitsną nagością do ponurych szkieleatów, stoją samotnie i dziwnie smutno. Nawet cudne, gwiazdziste noce nie zdołają rozerwać i nadać innego tonu surowej piękności zimy.

Idę tą białą, bezbrzeżną płaszczyzną cicha, skupiona. Wszystko, co mnie otacza, takie białe, spokojne, ale przytłaczające swoją martwością, ogromem... Zima, ta biała pani, taka precudna, ubrana w bogactwo świecących zdala diamentów, ale cudna tą pięknoscią, co przytłacza, odbiera siłę woli, jaką stanowi zgodność z usposobieniem mej duszy. Jakaś dziwna, straszna tęsknota ogarnia mnie, przytłacza, każe unosić się myślą w sfery marzenia, każe myśleć o słońcu szczęściu, o wiosnie... O wiosnie myśleć... — Całą spragnioną spokoju i uśmiechów duszą wołam i czekam wiosny.

Widzę ją w mgłach mych marzeń, jako piękną, uśmiechniętą cud-dziewczynę, która hen, gdzieś wdali, w obłokach unosi się na skrzydłach lekkiego zefirka, z rozwianym włosiem, z uśmiechem na rozchyłonych karminowych usteczkach.

Wiosna płynie... Nad głową jej rozkołysał się małeńki skowronek i śpiewa... Nuta jego pieśni brzmi radośnie, płynąc kaskadą tonów wdali. Skowronek śpiewa... Śpiewa o wiosnie, słońcu i szczęściu, o spokoju, jaki można znaleźć, szybując w powietrzu, czując się wolnym, bezpiecznym.

Tymczasem wiosenka w swej powietrznej wędrówce spuszcza się czasem na ziemię do ludzkiej biedy i nędzy. Pociesza ludzi, koł ich smutek, żal, rozdaje pocałunki, uśmiechy szczęścia. — A ziemię ubiera w kwiaty, w nową zieleń, oorzewa ją promykami słońca, pieści ją, śpiewa, kołysze... — Z tych marzeń cudnych, promiennych zrywa mnie i cuci zazwyczaj, głuchy, przeciągły jęk zimowej zawiei. I patrzę znów w dal bezbrzeżną, białą i smutną. I w wyobraźni mojej stają znów dwa przeciwieństwa takie straszne krańcowe to: wiosna i zima. Pierwsza wesola uśmiechnięta, szczęśliwa i piękna tą pięknoscią świeżą, młodzieńczą, druga poważna, biała z wyrazem gniewu i zaciętości. Oczy jej rzucają złe błyski, a piękność sprowadza przygnębienie i ból. Jedna w zielonej, powiewnej szacie, a druga biała skamieniała niemal i zimna, tak strasznie zimna.

Tak pragnę wiosny, tak chcę jej całą duszą. O przyjdź, przyjdź, wiosenka! W sercu mojem taki bezbrzeżny smutek, takie pragnienie weselszych, wiosnianych chwil, takie pragnienie szczęścia.

Więc przyjdź, o wiosno!

* * *

Bywają w sercu człowieka okresy, które porównać można do pór roku. Zima jest w sercu najgorszą. Człowiek w takich chwilach poddaje się zupełnie zwątpieniu i czeka — wiosny. Wiosna w przeciwieństwie do zimy daje sercu ciepło i szczęście bezmierne. I w mojem sercu dziś zima, więc całym jestem całą duszą pragnę i tęsknię za wiosną. O takbym chciała, chciała jak najprędzej ujrzeć tę panią wielką, cudną, ukochaną,

miłośnię uśmiechniętą, rzucającą spojrzenia, które do głębi wzruszają i sprowadzają do duszy spokój i ciszę.

Więc czekam wiosny... I wołam całym sercem, by przyszła, przyszła jak najprędzej. A wołam z wiarą i wielką, wielką nadzieją.

R.

TĘSKNOTA.

*Zaledwie zniknie słońca kula złota,
Zaledwie zgaśnie promień na zagonie,
Wnet pola nasze otula tęsknota
Trwożnie wśród ciszy załamawszy dłonie.*

*I wita długie rzędy białych domków,
W których swój żywot pędzi lud ubogi
Z rzewnym uśmiechem patrzy na swych ziomków
I wnosi smutek w ich drewniane progi.*

*Idzie przez pola, mogiłą owłada,
Na której wiatry święte pieśni nucą,
Na którą bratnia niejedna łza pada,
Ludzie spojrzenia rozrzewnione rzucą.*

*Sprawże, o Panie, niech ta ziemia macierz
Radością błyszczy, jak zroszona niwa,
I codzień płynie z ust naszych ten pacierz:
Niech więcej szczęścia w pracy nam przybywa.*

Es.

Przegląd karnawałów w czasie pobytu mego w Marjówce.

Kurs I-szy.

Po szeregu karnawałowych urozmaiceń, wesołych rekreacyj, przedstawień, następuje tak oczekiwany kulig. W zapustną niedzielę dziedzińiec zapelnia się kilkudziesięcioma saniami. W seminarjum radość nie do opisania. Jedne dziewczęta pękami różnobarwnych wstążek stroją uprząż koni, inne kładą futra, i w kilkanaście minut cały dom pustoszeje. Trzask biczów, brzęk dzwonków, furkot kolorowych wstążek i po puszystym, skrzywającym śniegu sunie, jak wichur, grający dzwonkami i śmiechem, barwny wąż sań. Mróz szczypie twarze i wszystkie zarumienione i wesołe śpiewają rozbawionym głosem:

*Śnieżną białością świeci się pole,
Sanna wyborna, jedź jak po stole,
Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń, dzyń — dwoneczki grają
Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń, dzyń, konie parskają.*

Ze śmiechem i śpiewem zajeżdżamy do Skrzynna. Zatrzymawszy się na chwilę, wchodzimy do kościoła i prześpiewawszy „Marjo, Ty jaśniejiesz,” znów z brzękiem wracamy przez Przysuchę do domu.

„Tyle radości! tyle wesela!

„Wszakże zapustna dzisiaj niedziela.

Mieszkańcy „stolicy” wylegli na drogę i wielkimi oczami patrzą na kulig. Po kilku-kilometrowej sennie wpadamy hucznie i ze śpiewem na dziedziniec szkolny. Po kolacji, zjedzonej z wilczym apetytem, zbiegamy na salę w świetnych humorach, by wesolą rekreacją, tańcami i dziarskim mazurem zakończyć karnawałowy dzień.

Kurs II-gi.

Kulminacyjnym punktem karnawału — bal maskowy. Wieczorem sala zamieniona, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, oświetlona lampą, przybraną ślicznym, barwnym abażurem, jeszcze jest pusta. W klasach i w sypialniach gorączkowy ruch. Samodzielnie przygotowane oryginalne kostjumy — stroją teraz podniecone chęcią zabawy uczennice. — Przypnij mi, Marychno, czubek do czapki — prosi choinka słupa z ogłoszeniami, wołającego donośnym głosem: „Na kursie II-gim wakuje posada suflera! Sowiłe wynagrodzenie zapewnione!” Na boku różowy amerek ze złotymi strzałkami poprawia sobie w lustrze loki i maskę, w kącie kończy toaletę smukły góralczyk, a Indjanin umawia się z marchewką do mazura.

— Wszelki duch! co za rogi! — śmieje się z żółtej gwiazdy — „ćma” ze stulonemi czarnemi skrzydłami i po chwili obie w wielkiej zgodzie zbiegają na salę. Tu ruch i gwar przygłusza chwilami głos fortepianu. Niezmiernie malowniczy wygląd zabawy przyciąga i bawi wzrok. Majestatyczny muchomor chwije czerwonym kapeluszem, koło eleganckiej „moderne” damy, przeciska się rozkrzyczana przekupka z dziadem.

— Nikt cię nie może poznać, wiadomo, — mówi do maczka ponsowego rozbawiona kwiaciarka.

— Mogę prosić do mazura — kłania się przed Polką w błękitnym kontusiku wysoki trubadur z mandoliną. Na rogu sali, pod ogromnym chińskim parasolem, na barwnych dywanach między chryzantemami siedzą młode Japoneczki i Chinki w kimonach i, naradziwszy się między sobą, zaczynają stylowy chiński taniec, w który wciągają całą salę. W drugim rogu, w kiosku — rozłożył się obóz cygański, gdzie można powróżyc sobie z kart. Czasem wpadnie tu ponsowy płomyk, by, odpocząwszy chwilę, znów bawić się na sali. O jutrzejszych lekcjach... ktoby to myślał! Chyba jedynie uczennice w granatowych codziennych mundurkach, ale nigdy szafirowa noc, wlokąca za sobą długi tren z granatowej bibuły, uklejonej gwiazdami, nastroszony kogucik, śliczna królewna jasnowłosa, ani atlasowy amerek.

Kurs III-ci.

Po serii rekreacyj szkolnych i przedstawień następuje — zabawa z paniami przy udziale kursów starszych IV-go, V-go i wyjątkowo dopuszczonego w tym roku — kursu III-go. Po serii przygotowań, szeptów, narad,

nadchodzi pamiętny wieczór. Sala balowa efektownie ubrana festonami lekkich, chwiejących się za każdym powiewem smug barwnej bibułki. Pomimo chwilowo — wrogiego nastroju „starszych” oburzonych, że te „dzieciaki” są na zabawie, humor dopisuje wszystkim. Sala fizyczna, zamieniona na gabinet z kanapkami dla odpoczynku, zapelnia się po tańcu. — Liczny zjazd gości sprzyja wesołemu nastrojowi.

Rozbawioną salę obejmuje miłym wzrokiem p. Dyrektorka, rozmawiając z jednym z przyjezdnych panów.

Kurs IV-ty.

Najważniejsza część programu karnawałowego — to przedstawienie maturzystek i zabawa z panami, obwieszczona wielkim opisem, wywieszonym na drzwiach sali rekreacyjnej. IV-ty kurs, jak mu się to „z wieku i z urzędu” należy, tradycyjnie bierze w niej udział. Na sali, która miała wyglądać jak „w bajce,” ustrojonej zielenią i śniegiem ze srebrnymi nitkami deszczu, (w rzeczywistości miała b. melancholijny wygląd) — rozpoczęła się zabawa. Pełni werwy panowie z zamachem tańczą staropolskiego mazura, znajdując w uczennicach dzielne i wdzięczne tancerki. Na nie szczęście niewszyscy goście dopisali, to też panów b. skąpo udzieliły nam nieba. Nie martwimy się jednak, i ze słowami „bo młodość to jest cudny kwiat, nie żałuj, dziewczę, młodych lat,” używamy w całej pełni zabawy i tańca, zaglądając od czasu do czasu na górę, gdzie w jednej z sal, ubranych barwnymi wstążkami, na „chłopskim weselu” przytupują ze szczerą wesołością roześmiane dziewczęta z młodszych kursów.

Kurs V-ty.

Karnawał rozpoczął. Świadczą o tem pączki, które w święta sprawiają w jadalni nieobliczalny efekt i entuzjazm, a również częste uleganie pana profesora, gdy na prośby uczennic zasiada do fortepianu i na paузach wygrywa oberki i walce. Nawet piłka — siatkówka straciła powodzenie.

Tłusty czwartek wszystkie kursy święcą dorocznym zwyczajem. Na I-szym panowie i panie w ślicznych strojach tańczą na lekcji gimnastyki, na innym lałki z wielkimi kokardami za naciskiem wołają „mama!” tata! „dwójka!” „piątka!” Nawet maturzystek niema w seminarjum, tylko, zależnie od lekcji, — na historii są wszyscy królowie polscy, na pedagogice — karzelki, a na francuskim — damy w maskach i niecodziennych strojach. Wszakże to karnawał!

No, ale jeszcze nie koniec. Nad ostatkami postawiony wielki znak zapytania. Powiem wam jednak w sekrecie, że szykuje się wiele miłych niespodzianek. A jakich? zgadnijcie, wesołe koleżanki!

C.

JAK TO PRZED MATURĄ ŁADNIE.

Zapracowany, zakopany po uszy w książkach V-ty kurs czasami tylko wysunie głowę z za Foerstera, Piramowiczów, „Kotów,” by krzyknąć zirytowanym głosem do grającej z wielkim talentem na gramofonie — Stefki: — Cicho! —

Jedynym weselem w tym karnawale jest dla nich „Wesele” Wyspiańskiego. Karnawał poznają jedynie po ogłoszeniach balów i danzingu w dziennikach i listach „ze świata,” oraz po racuszkach na kolacje. Szczęśliwe wybranki losu, otrzymujące z poczty wielkie paki z paczkami, nie lubią przygotowywać grupami tematów maturalnych, ale przez parę dni szukają samotności. I dziwna rzecz: wówczas mają najwięcej przyjaciółek. Ale te pozostałe biedaczki o wydłużonej twarzy i wpadniętych oczach szukają zapomnienia i pocieszenia w rozpatrywaniu w sali biologicznej przy mikroskopach składu paczków, ale... tych z drzew.

* * *

Życie maturzystek jest barwne i ciekawe.

Pomimo nawału pracy nie brak w nim różnego rodzaju atrakcyj. Czasem, po długich i ciężkich błaganiach nakłoni się pana profesora, by zagrał mazura, lub Laurka tanecznym krokiem podejdzie do fortepianu i zabębni... Najsystematyczniej bawimy się na lekcjach tańca. Wtedy nawet te, którym „nie zabawa w głowie,” zaciągane na sale, wywijają rażno oberki i mazury. Niemalę powodzeniem cieszy się także piłka siatkówka. Każdego dnia, idąc z obiadu, wступujemy „na partyjkę,” która przedłużałaby się do nieskończoności, gdyby nie „małe” które po swoim obiedzie też chętnie biorą się do roboty. Wówczas my ustępujemy z pola. Ale najgorzej jest, gdy nasza piłka zepsuta, bo ta zamszowa ze stołowego pań — to owoc zakazany, dla którego czujemy wielki respekt. Zato, gdy nasza piłka zdrowa i cała, to hulaj dusza!

Coraz to któryś mundurek przy zbyt żywych ruchach właścicielki trzaska, wykręcają się nogi partnerek, wybijają palce.

— Uwaga! — woła serwująca Julka. Dwadzieścia rąk, podniesionych w górę, oczekuje nadlatującej piłki, a Ziułka jak zwykle wśród ogólnego śmiechu, miauknąwszy, „puszcza” ją na „aut.”

* * *

— Umiesz lekcje? Eee... od czego noc.

I wtedy, kiedy się wszyscy przeciętni śmiertelnicy układają spać, maturzystki zaczynają działać. W miękkich, różnobarwnych, flanelowych strojach, gimnastycznych pantoflach zbiegają do klasy i w dobranych grupkach „kuja” zawzięcie.

— Co dzisiaj powtarzamy? pyta Lesia.

— Ja śpiewy — woła Cunia, bo już mam 3 absencje, dwie dwójki i notę w dzienniku od pana profesora.

— No, to ja już wolę gimnastykę — woła Gieniátko.

— Dajcie spokój! zabierzmy się lepiej do Kota.

— No, dziś siedzę przynajmniej do rana — odzywa się głos z kąta.

— Nie kładę się spać, dopóki całej świeczki nie wypalę. —

Mówiąc to, Baśka wyciąga ze stolika pięciocentymetrową choinkową świeczkę.

— Piękna jestem — mówi z przekonaniem tęga blondynka, przeglądająca się w wytartym lusterku.

Klasa wybucha śmiechem.

Następuje cisza. Grupki jasnych i ciemnych główek pochylają się nad podręcznikami, studjując zadane tematy.

... Kobiety w utworach Prusa są... powtarza sennym głosem Stacha, opierając się na jaśku i po chwili zasypia snem sprawiedliwego.

— Czekaj, próżniaku, dam ja ci... mówi Lalka, sama poziewając skrycie i ze słowami: — Obudź się... porządny łyk herbaty wlewa do rozchylonych we śnie ust Stachny. Jaki efekt — zbyteczny opis. Roze-
spana ofiara zrywa się momentalnie na równe nogi i znów od początku powtarza.

— Dziewczynki, pracujcie intensywnie, wszakże tylko do jedenastej wolno nam siedzieć. —

— Już moja siódma świeczka się wypala. —

— No, — nic dziwnego, jak wszystkie jednocześnie palisz. —

— Dziewczynki, nie rozmawiajcie — jęczy Ziułka z za stosów książek, które studjuje przed wypracowaniem: „Znaczenie Bałtyku w przeszłości i dobie obecnej.”

Znów mija godzina.

— No, dłużej nie możemy siedzieć, chodźmy spać. —

„Szabes” kończy się. Świeczki gasną i zmęczone, ledwie żywe „piątaki” kierują się ku drzwiom.

Ciii... ostrzegają przezorne głosy.

Drogę przez korytarz przebywają w idealnej ciszy.

Nawet te „najcieńsze” stąpają jak gazelle, a cóż dopiero mówić o takiej Lalce, Cuni i Lesil

Och, te schody! jak je przejść bez hałasu. — Najgorszy ten czwarty od końca. Nawet pod najłżejszym stąpieniem wydaje przeraźliwy trzask i skrzyp, który jakimś głuchym echem odbija się w całym domu.

Serca biją żywszym tempem. Żeby jak najprędzej skończyła się ta roztrzeszczona droga.

Kilka susów, trochę zamieszania i pilne „piątaki” znajdują się w łóżkach, rozebranych przez jakąś dobroczynną rękę. Powrót ten jest hasłem do rozpoczęcia wędrówki „rannych ptaszków,” których stukania i hałasy wypełniają drugą część nocy.

*

*

*

Więc choć się niedośpi i pracy jest nawał, jednak z żalem myślimy, że nadejdzie chwila, kiedy będziemy musiały rozstać się i opuścić kocha-

ne mury szkolne, by wśród ciężkich momentów życia krzepić się jasnymi wspomnieniami z minionych dni „górnej i chmurnej” — młodości.

„Hultajska trójka”

L. C. L.



W SYPIALNI PO PACIERZU.

Pewnego razu księżyc ciekawy,
Słyszac ogromnej odgłosy wrzawy,
Spojrzał przez okno; mało nie krzyknął,
Tak się przeraził, że z żalu syknął,
Bo, co zobaczył, przechodzi miarę
I dziwi jego oko ciekawe.

Była sypialnia, a duch w niej wielki,
Słyszcy tonacje głosów, więc cienki
Sopranik Naci, tam znów głos Neli,
A był to wieczór świętej niedzieli,
Gdy każda do snu głowę układa,
Ale w sypialni ogólna rada.

Przez chwilę cisza, lecz w krótkim czasie,
Lilka (na figlach ta dobrze zna się)
Wstaje i mówi zciszonym głosem,
Jakby się bała zbudzić odgłosem
Cichutko śpiące: „Dzisiaj, dziewczynki,
Do góry głowy, wesole minki!

Panna Agnieszka wdali, w Opocznie
Za sprawunkami. bo jak corocznie
Kupuje szmalec na dobre paki”...
A wtem, o zgrozo! „A spać mi, baki!”
Słychać głos pani. Wszystkie już chrapią,
Ze strachu prędko powietrze łapią.

Pani za karę światło zgasila,
Wtem: — „Lilko droga, o Lilko miła!”
Płynie szept z łóżek cichy, cichutki.
I znowu wstają tajemne ludki
I radzą, radzą... A księżyc słucha
I światłem swoim dodaje ducha.

Lecz co to? co to? Co robi Ziunia?
Coś tam majstruje, W pomoc Stefunia
Przychodzi śpiesznie. Księżyc się targnął
I z przerażenia zdaje się zbłądnął.
Na łóżku leży w koldrę zakuta
Jakowaś postać. Ziuta? nie Ziuta?

Dziewczynki radzą, lecz coraz głośniej,
Głosiki czasem drżą im żałośniej,
Te chcą powieści, tamte znów ducha
Chcą wywoływać — żadna nie słucha.
Wkońcu do Ziuty idą po radę,
Ale się zaraz cofają blade.

Na łóżku Ziuty dziwy się dzieją.
Dziewczynki bliżej podejść nie śmieją,
Bo jakaś postać po łóżku skacze,
(W każdej ze strachu serce kołacze)
Postać tymczasem śmieje się, wyje,
Błyska zębami i głową bije.

Wreszcie opadła bez sił i ducha,
Każda z dziewczynek przez chwilkę słucha,
Czy się znów krzyki powtórzyć mają.
Jedna odważna (inne trzymają
Za ręce zucha) idzie wolniutko
I fakt, odkrywa koldrę przedziutko.

Ach, toż to Ziuta! To ona całą
Hecę zrządziła. Więc śmiech nawałą
Wybucha z serca, wiąże się, łączy
I koło łóżka powstał tan rączy.
„Pst... pst... słyszycie?” Za drzwiami kroki,
Sypialnię spowił brat — sen głęboki.

Pani, albowiem ona to była,
Przykładną ciszą aż się zdziwiła,
Zadowolona prędko odchodzi,
Przecież dziewczynki śpią, jak się godzi,
Tylko że Ziuta, duch niespokojny,
Wygląda, jakby wróciła z wojny.

Po wyjściu pani znów figle, psoty,
Którymś przebrało się tam roboty,
Przenoszą Ziutę, sama nie może
Chodzić z tą lalką, ach, wielki Boże!

Idą do Basi, która już wrzeszczy,
Rzuca się, skacze, aż łóżko trzeszczy.

Ziuta się śmieje, śpiewa, fiksuje,
Każda ze śmiechu boków nie czuje.
A wtem... — ktoś klamką poruszył srodze,
Ziuta i Nela już na podłodze,
Pod łóżkiem Jadzi każda się chowa,
Ale... o, losiel Odpada głowa.

Na szczęście pani zauważyła,
Że Jadzka jeszcze w łóżku nie była.
Bureśmy swoją drogą dostały,
Ale choć głowy nie postradały.
Pani, Jadziuni sprawą zajęta,
Wychodzi, pilnie patrząc w dziewczęta.

Ziuta z pod łóżka już się gramoli,
A my, wyśmiawszy też się dowoli,
Myśląc o jutrze, o klasóweczce,
Tamte o dwójce, te o piąteczce,
Już zasypiając, śmiejem się zcicha.
Księżyc z zazdrości głęboko wzdycha.

Widząc jednakże nasze humory,
Że do uśmiechów także jest skory,
Rozjaśnił swoje przepiękne czoło
I błysnął smugą światła wokoło,
Oblał twarzyczki, co przez sen sobie
Śmieją się w marzeń słonecznych dobie.



Jedna z lekcji.

Po dzwonku wbiegamy ożywione do klasy. Zajmuję swoje miejsce. Ks. Kanonik zaczyna wykład o życiu pozagrobowym. Spozstrzegam u mojej sąsiadki książkę w barwnej okładce, ogromnie jestem ciekawa, co w niej jest, więc dyskretnie i szybko uchylam kilka rogów książki, by zaspokoić swoją ciekawość. Wtem słyszę głos sąsiadki:

— Nie ruszaj. —

— Tylko na chwilę. —

— Nie ruszaj. — Udaję, że nie słyszę.

— Z jakiej racji oglądasz tę książkę? To ja ją sobie pożyczyłam. —

Nic nie mówię, tylko chcę przedrzeć natrafić na rycinę, bo przecież zaraz muszę uważać.

— Połóż w tej chwili — słyszę powtórnie i odpowiadam niecierpliwie. — Dałabyś spokój. Widzę w jej oczach trochę irytacji, a sama czuję, że zmieniam ton głosu. Powtórna uwaga mojej sąsiadki, potem moja odpowiedź, i krótkie niedopowiedzenie wyrazu — złość. . . — Czuje, że się zaczerwieniłam, chciałam jeszcze coś odpowiedzieć, ale przypominam sobie, że to wykład, bo kilka twarzy koleżanek odwróciło się w naszą stronę. Słyszę słowa ks. Kanonika: „A ciało tem będzie piękniejsze, im dusza będzie lepsza.”

Mrugam prędko kilka razy oczyma i myślę: . . . — O, to chyba ja nie będę ładna, bo przecież złośczenie się wcale nie upiększa. . . tak, ja tam chyba będę brzydka, ale jaki będzie śliczny ks. Kanonik, niektóre koleżanki i jeszcze ktoś, jeszcze ktoś. . . Och, jaka to szkoda, że ja nie będę taka jak oni. . . a może tam wcale nie pójde, — ale znowu słyszę ks. Kanonika: „Prawie wszyscy się zbawia, bo, pomimo grzechów i upadków, każdy przecież dąży do miłości Bożej i szczęścia wiecznego.” Obudziła się we mnie nadzieja. Ach, może się tam jakoś dostanę, przecież tam nie będzie już matematyki. W takim razie nic mi nie wypada, tylko przeprosić moją sąsiadkę, albo zaraz zapomnieć to, co zaszło. Zdaje sobie sprawę, że to jest drobnostka, ale tak mi się trudno zaraz odezwać. — Ech, nie mogę, no, to przynajmniej teraz nic nie powiem, ale natychmiast po lekcjach uśmiechnę się do niej na znak, żeby zapomniała tę chwilową utarczkę.

Po chwili tego rodzaju myśli zaczynam słuchać wykładu, przeżywać słowa ks. Kanonika i tak mi jest strasznie dobrze, bo zapominam, że jestem w klasie, tylko widzę krainę cichą, przesłodką, rozslonecznioną, wypełnioną atmosferą boskości i czuję, że duszę przenikają nawskroś jakieś uczucia niezmiernie szlachetne i czyste. Wszystko, co jest w tym kraju, wszystko się kocha, każdy najdrobniejszy atom drży szczęściem i miłością, och, jak tam dobrze, strasznie dobrze. Niema już żadnych trosk, najmniejszych niepokoi, chaosu myśli i takiego czasem bolesnego skurczu serca. . . To wieczysty kraj słodczy, nieskończonego piękna i uśmiechu szczęścia.

Jestem, gdzie tylko chcę, to, za czem tęskniłam, to wszystko widzę i to, co kochałam, to wszystko mam, tylko stokroć piękniejsze i jeszcze bardziej kochane.

Gdyby zebrać woń wszystkich pól różanych, wszystkie blaski i tęczebrylantowych ros, przyprószyć to nalotem słońca, rozdzwonić kielichami białych konwalij i tchnąć w to ducha miłości — nie byłaby to jeszcze ta kraina szczęścia, o której mówił nam ks. Kanonik. Donośny głos dzwonnika, dał znać, że lekcja skończona. . . ocknęłam się, spoglądałam na swoją sąsiadkę i uśmiechamy się wzajemnie. . . potem, oparłszy głowę na rękach, wracam myślą do kraju, gdzie wiecznie słońce jasne i pogoda, słońce i pogoda. . .



M.

Na dyżurze w ćwiczeniówce.

Proszę pani, proszę pani, Ignasz palec skaleczył, tak mu krew idzie!
Proszę pani, zgubiłem obsadkę! —
Proszę pani, Kasia się popycha! —

Jestem w rozpacz... To pierwszy mój występ na niwie szkolnej. Nieszczęście, czy szczęście, sama nie wiem, chciało, abym miała dziś dyżur w ćwiczeniówce w pierwszym oddziale. Nie wiem, jak sobie poradzić z rozkrzyczanymi dziećmi, poprostu z trwogą spoglądam wkoło, szukając jakiegoś punktu wyjścia, jakiegoś ratunku. Przede mną stoi zapłakany chłopczyk w szarem wytartym ubranku i dwoje jak chaber oczu podnosi na mnie z wyrazem niemej prośby i żalu. Tak mi przykro, cóż ja mu poradzę? —

No, powiedz co ci jest, co się stało? — pytam z współczuciem.

Chwilka milczenia, przerywana łkaniem.

— No, powiedz, może co poradzimy. — Ołówek tu był (pokazuje małą płócienną torebkę) i... wyleciał i... i... zginął!

— Przypomnij sobie, może zostawiłeś w domu, może nie zginął — podsuwam mu myśl, która mogłaby go chociaż na chwilę pocieszyć — Nie... wziąłem go, tu włożyłem i, jak szedłem, to wyleciał. —

Opowiadaniu towarzyszy nowy potok łez. Teraz już jestem zmuszona naprawdę zająć stanowisko „pocieszycielki strapiionych”. Biorę go za rękę i przemawiam, jak tylko mogę, najbardziej przekonywująco. — Otóż widzisz, jak zginął, to już przepadło, płacz nic nie pomoże. Na drugi raz trzeba więcej uważać na to, co się niesie. Nie płacz, jak poprosisz, to mamusia kupi ci inny równie ładny, jak tamten. No, a teraz otrzyj łezki, to się ładnie pobawimy. — Oczy dziecka roz błysły jakimś figlarnym blaskiem, przeleciał po nich jasny promyk i zniknął. Jeszcze na rzesach drżą naksztalt pereł łezki, jeszcze widać na twarzyczce jasne ruchome smugi, gdy już usta, złożone w bolesną obwódkę, powoli składają się do uśmiechu i na pełnej buzi pojawiają się dwa małe okrągłe dołeczki. — No, dobrze, będziemy się bawić!

I ja też, i ja.. i ja!..

Ponieważ wszystkie dzieci wyraziły chęć zabawy piłką i już związały kółko, przeto po krótkim objaśnieniu dostały pożądaną przedmiot. Podczas, gdy dzieci z wielkim entuzjazmem zaczęły zabawę, ja odetchnęłam z ulgą. No, przecież zjednałam ich uwagę i chociaż na chwilę odwróciłam ich umysł od psot, które mnie przerażały. Lecz oto nowy kłopot. — Proszę pani, Józia nie chce mi dać piłki. — Oczywiście musiałam rozpatrzyć tę sprawę i wkrótce nastąpiła zgoda, pojednane dzieci z humorem zaczęły znów zabawę. Widocznie sądzone było, abym dnia tego wypróbowała siłę swego autorytetu, bo oto w tej chwili wpada do klasy z hałasem mały obywatel i nie zdejmując czapki, daży do ławki. — Józiu, proszę zdjąć czapkę! — Chłopiec milczy. — Józiu, zdejm czapkę, czy nie wiesz, jak się wchodzi do klasy? —

Dziecko nieznacznie spogląda na mnie, a widząc, że to nie żarty, ściąga powoli czapkę i siada w ławeczce. Tymczasem dzwonek przerywa zabawę, dzieci zajmują miejsca, wchodzi nauczycielka i zwalnia mnie od obowiązku dyżurowania.

Wracając dnia tego do domu, miałam jakieś dziwne wrażenie, a w uszach brzmiały mi miłe dziecinne głosiki.

To pierwsze bezpośrednie zetknięcie się z dziatwą dało mi jednak wiele zadowolenia i radości, wlało w duszę jakąś błogą nadzieję i wiarę we własne siły i lepszą przyszłość.

„Białe płatki”

**Jeden dzień z życia Kochanowskiego w Czarnolesie
na podstawie fraszek i pieśni.**

Piękny, pogodny czerwcowy poranek zawitał w Czarnolesie. Niebo było czyste, przetkane gdzieśgdzie klebami białawych obłoków. W powietrzu panowała cisza — tylko brzęczenie much zlewało się ze świergotem ptasząt i płynęło hen, daleko — ku Stwórcy.

Kochanowski zerwał się szybko z łoża, umył się, ubrał i stanął przy otwartym oknie, skąd aromatyczny zapach róż, jaśminów, lewkonij rozchodził się po całym pokoju. Poeta spojrzał na pobliską okolicę, — była ona różnobarwnym kwieciem, niewielki strumyk spływał ze wzgórza, to wijąc się jak wąż, — to znów spokojnie rozlewając się na miękkich kobiercach traw, to ginąc gdzieś w zaroślach — lub mieniąc się jak różnokolorowa wstęga. Jakaś tęsknota owładnęła duszę Kochanowskiego i uniosła go gdzieś daleko do ukochanej, — myślał. „Tu góra drzewy natkniona, a pod nią łąka zielona, tu źródło przezroczyściej wody podróżnemu dla ochłody, tu zachodny wiatr powiewa, tu słowik przyjemnie śpiewa, ale to wszystko za jaje, kiedy Hanny nie dostaje.”

Trwało to tylko chwilę, bo Kochanowski zapanował nad przykreimi myślami, zjadł prędko śniadanie i wyszedł w pole skontrolować przyszłe plony swej pracy. Przedstawił mu się smutny widok: Kwiaty pochyliły melancholijnie swe kielichy, trawy zbóż żółknące zdawały się błagać o litość i o trochę dżdżu. Duszą subtelną wyczuł poeta potrzebę przyrody, a ponieważ miał w Bogu powiernika swych trosk i niepowodzeń, a więc w chwili obecnej wzniósł wzrok ku Stwórcy i jął błagać: „Wszego dobrego Dawco i Szefarzu wieczny, ściśnij wilgotne chmury świętą ręką Twoją, a one suchą ziemię i drzewa napoją” —

Nagły turkot powozu i tetent kopyt końskich przerwał modlitwę poety, który ujrzał przyjaciela, siedzącego w karecie. Jednym skokiem znalazł się tuż blisko przy gościu w powozie — tyle miał mu do powiedzenia. —

Zygmunt, (gdyż było takie imię przybyłego), był tem spotkaniem bardzo ucieszony, lecz na twarzy jego malowało się jakieś nieznane cierpienie. . . .

Co ci jest? — zaczął czule pytać Kochanowski: „azali jakie niecne frasunki gniotą twe nadobne serce?”

Przyjaciół spojrzał mu badawczo w oczy i opowiedział o strasznym spustoszeniu Podola. — Zerwał się poeta i głosem, pełnym bólu i rozpaczem zawołał: „Wieczna sromota i nienagrodzona szkoda, Polaku! Niewierne Turczyn psy zapuścił swoje, którzy zagnali piękne łanie twoje. Zbójce niestety, zbójce nas wojują, którzy ani miast, ani wsi budują” — tu pochylił się na ramię przyjaciela. za chwilę podniósł śmiało głowę i silnym głosem rzekł: „Jakiego serca Turkowi dodamy, jeśli tak lekkim lutobie nie zdołamy. Zetrzyj sen z oczu, cny Lachu, kto wie, jemu czyli tobie szczęście chce służyć,” i jeszcze z większym zapalem dodał: „skujmy talerze na talary, skujmy, a żołnierzowi pieniądze gotujmy!”

Tak wspólnie radząc obaj przyjaciele dojeżdżali do Czarnolasu, panował tutaj wielki ruch, bo było przygotowanie do „sobótki.” — Kochanowski z gościem, pragnąc spokoju i poufalej rozmowy, skierowali swe kroki ku dużej rozłożystej lipie, w pobliżu domu stojącej. Poeta jakby

słowami lipy uroczyście zaprosił: „Sąsiedzie, gościu siądź pod mym cieniem, a odpocznij sobie, nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie.”

Słońce wzbilo się wysoko, złocistymi promieniami zaglądało do rozchylonych kielichów kwiatów, obserwowało skrzętne prace mrówek, budujących misternie korytarze i usypujących nieproporcjonalnie do swej wielkości kopce... Przyglądało się też systematycznej pracy pszczołek, które, wykradając kwiatom lipy ich słodycz, zdawały się coś szeptać przyjaźnie... Od zachodu powiewał chłodny wiatr i lekko muskał stroskane czoła patryjotów. — Cichy szelest lipowych liści przynosił na duszę przyjaciół błogie ukojenie, a słowiki swym śpiewem zdawały się dostosowywać do chwili, gdyż melodia ich była przeciągła, melancholijna — smutna... Kochanowski zaprosił na obiad i obaj patryjoci skierowali się ku dworowi, który był skromny, lecz urządzony wygodnie, według subtelnych wymagań myśliciela.

D. C. N.



Sprawozdanie z wycieczki pomorskiej

Rzucewo.

24-go czerwca 1927 r. jesteśmy w Pucku. Do południa zwiedzamy miasto, kupujemy karty i rozsyłamy je w różne strony Polski z radosną wieścią, iż jesteśmy nad naszym polskim morzem. Po obiedzie p. przewodnicząca zakomunikowała nam wycieczkę do pięknej miejscowości nad morzem, położonej o 6 klm. na połud.-wsch. od Pucka — Rzucewa. Radości i ochoty moc — chciałoby się każdy zakątek ziemi polskiej nad morzem własnymi oczami zobaczyć i na zawsze zapisać w pamięci i w sercu. To też mimo niepogody, która przysłoniła słońce — wyruszyliśmy energicznie i śmiało w drogę. Ścieżyna wiodła nas przez równinę, pokrytą zielonemi zbożami. Po drodze spotkałyśmy wioskę Bładzików, a potem znowu równina. Dochodzimy do Rzucewa i z ciekawością przyglądamy się wysokim i rozrosłym drzewom, jakie okalają dwór rzucewski i jego drogi. Po otrzymaniu pozwolenia na zwiedzanie, miejscowy jakiś stróż, mówiący po niemiecku, wprowadził nas do parku, w którym znajduje się pałac, należący do hr. niemieckich. W XVII w. Rzucewo było własnością wojewody Jana Weyhera, później przeszło ono na własność Sobieskich, a w następnych swych dziejach dostało się w ręce obce. Obecny pałac pobudowany jest z czerwonej cegły w stylu neogotyckim, obrosnięty jest dzikiem winem, co robi b. miłe wrażenie.

Po obejrzeniu pałacu z zewnątrz udałyśmy się w głąb parku, który sam przez się jest b. ładny, lecz największą jego ozdobą jest morze, które ciemnozielonemi falami rozbija się u jego stóp. W parku szczególniejszą naszą uwagę zwróciły krzaki ostrokrzewów, dochodzących do 1½ m. wyso-

kości, leszczyna o liściach koloru ciemnoburaczkowego i drzewo platan, dosyć wysokie i grube o liściach podobnych do jesionu. Ma ono tę osobliwość, że odpada od niego kora całymi płatami, robi więc wrażenie jakby specjalnie było obdarte z kory.

Cały park położony jest na wysokim wybrzeżu, które dosyć stromo opada ku morzu, zbocze porośnięte jest drzewami i gęstymi krzakami, co utrudnia zejście nad morze,

Wspaniałą pamiątką, jaka została po Janie III Sobieskim w Rzućwie, jest prześliczna czterorzędowa aleja lipowa, zw. Sobieskiego, ciągnąca się na przestrzeni 2 km., począwszy od pałacu aż do Osłonina. Szliśmy nią — zdumione wiekiem, potęgą i rosłością drzew — wspaniałe to i żywy pomnik. Mimo że aleja ta nadzwyczaj się nam podobała, to jednak, po przejściu nią kilkudziesięciu kroków, ze smutkiem musieliśmy wracać, ale na szczęście droga powrotna to nowy czar. Wracamy do parku i jedną z jego bocznych alei lipowych, jakoby bramą triumfalną z żywych ślicznych drzew, związanych w górze gałęziami, schodzimy po pewnej pochyłości do morza. Szum jego słyszymy zdaleka, a taki ponętny, żywy jak mowa ludzka, że trudno mu się oprzeć i dusza rwie się naprzód, by nad tem morzem stanąć, patrzeć w nie i słuchać potężnej, a wiecznej pieśni. Jesteśmy wreszcie, schodzimy po dosyć stromym zboczu parku i już bawimy się z morzem. Ta zanurza ręce w nadpływające fale, inna ucieka przed niemi, inna jeszcze zbiera muszelki ślimaków winniczków, małży, sercówek, rogowca bałtyckiego i innych, znajduje żywe ślimaki o kolorowych muszelkach, dochodzących wielkości małej pięści. Wszystko takie ciekawe, śliczne. Fale wyrzucają nam pod nogi pęki brunatnego morszczyku i żwir różnobarwny wprost po mistrzowsku oszlifowany, oglądamy kamyczki, wszystkie ładne, niewiadomo który na pamiątkę wziąć — trzeba szukać, a może jaki odłamek bursztynu się znajdzie, ale to mozolna praca, tak się często można omylić.

Czas jednak wracać do Pucka, całe szczęście, że droga powrotna wypada nam brzegiem morza — napatrzymy się dosyć i nasłuchamy morza. Pogoda coraz bardziej się zasepia, wzmaga się wiatr, morze marszczy się coraz silniej, wypręża w swych posadach i bałwanami o śnieżnych grzywach wali o brzeg i gniewa się, ale pięknie, jednocześnie nadaremnie, gdyż nie może się wydobyć z niewoli. Nowe fale próbują walki i zdaje się, że z większą siłą pędzą do brzegu, ale znowu nanieć, przecież jednak nie ustają, a ta ciągła walka trwa wieki całe.

Zasłuchane tak i zachwycone morzem, znów nie spostrzegamy nawet, jak nam prędko droga schodzi. Niedaleko Pucka spotykamy rybaków, łowiących białe raczki, mające służyć za przynętę przy łapaniu ryb. Zbliżamy się, mocno zainteresowane, aby przypatrzeć się ich pracy i raczkom.

Naturalnie wzięliśmy zaraz czynny udział w zbieraniu tych raczków, pomiędzy którymi odnalazłyśmy małe zmieraczki, iglice morskie (ryby cienkie b. a mocno wydłużone). Rybacy, chociaż małowinni, widząc nasze zainteresowanie i zadowolenie ze zdobytych okazów, ofiarowali nam ku wielkiej naszej uciechy kilka węgorzy. Gdy doszliśmy do Pucka, był już gęsty mrok. Nie czułyśmy zmęczenia, bo ogromna moc zadowolenia wypełniała nam serca — jesteśmy nad polskim morzem, słuchamy, patrzymy i nie wierzymy wprost, że się spełniają marzenia długich lat: — oglądamy polskie nasze morze, — bogactwo nasze, ozdoba i ukachanie.



NASZA ANKIETA.

1. Do kogo chciałabyś być podobna i dlaczego?

ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ

III.

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Po południu...

Ileż myśli płacze się po mojej głowie!

Święta... tak długo... długo oczekiwane przeze mnie w Marjówce!

Teraz już jestem w domu!

Tak dobrze... dobrze... Cicho i ciepło w pokoju, zegar tylko powoli powtarza swoje monotonne „tik — tak” i liczy sekundy, minuty, godziny...

Siedzę przy oknie z „Brzaskiem” w ręku, a przed oczami moimi widnieją słowa tytułu:

„do kogo chciałabym być podobną”...

Te słowa już dawniej przychodziły mi na myśl i zawsze na nie znajdowałam odpowiedź.

W pierwszych latach mojego życia ideałem była Matka. Staralam się być podobną do Niej pod względem zewnętrznym i duchowym. Naśladowałam Ją w mowie w ruchach, w ubiorze, w postępowaniu z innymi — słowem we wszystkim. Chciałam to zapamiętać, aby w przyszłości móc mieć wzór dla siebie...

W wieku starszym pod wpływem czytania książek — rodziły się w mej duszy ideały inne..

Przed oczyma stawały mi bohaterki różnych powieści: miła dziewczątka o naiwnym i bardzo dobrym serduszką — Danuśka z „Krzyżaków”, to znów Baśka z „Pana Wołodyjowskiego”, hasająca na koniu po polach i zwalczająca wszelkie trudności.

To wszystko jednak mijało, a ja znów dążyłam do tego, aby znaleźć sobie swój ideał, ale niezmienny i taki, z którego mogłabym czerpać siły do pracy na przyszłość..

I dziś... kiedy pomyśle, że będę niedługo nauczycielką, że będę uczyła tę małą dziatwę i przygotowywała do życia, przed oczami moimi rysuje się książka „Płomień Ofiarny” O. M. Lekeux.

Bohaterką tej książki, a zarazem moim jedynym ideałem, jest młodziutka dziewczynka Maggy (nauczycielka). Życie jej pełne było trudów, niewygód, a jednak ona starała się te wszystkie przeciwności zwalczyć — „zwyciężyć siebie więcej niż narody” i brnąć dalej po tej ciężkiej drodze żywota... Goniąc za szczęściem starała się je znaleźć, nawracając biedne dusze do Boga, niosąc wszędzie dobro i swoją pomoc...

To też pozyskiwała serca ludzkie, które ją bardzo kochały i były dla niej oddane..

Ja, chcąc w części być podobną do niej, muszę dużo i długo nad sobą pracować.

Maggy... to istota, przynosząca pożytek Ojczyźnie, starająca się skrócić biedę i nędzę wśród ludu, kochając go...

Mając w myśli swój jedyny ideał, chcę i muszę choć trochę być podobną do niego, więc narazie biorę dla siebie jedyną jego cechę:
„Siać dobro wśród innych i — kochać”

IV.

Życie moje to okres ciągłej walki i borykania się z losem, okres walki o byt i... szczęście. Patrząc na świat zupełnie trzeźwo i widząc dobrze, że jeśli mi czasem źle, to bardzo często jest to wina mego nieopanowania; dlatego też marzeniem moim jest mieć charakter dobry, wyrobiony. Ideałem moim to Klementyna Hoffmanowa. — Podoba mi się jej zapał, z jakim walczy o zdobycie celu, z jakim stawia czoło wszelkim zawodom życia. Nie łamie się pod ciężarem jednego z wielu krzyży codziennych, ale idzie, idzie wciąż naprzód.

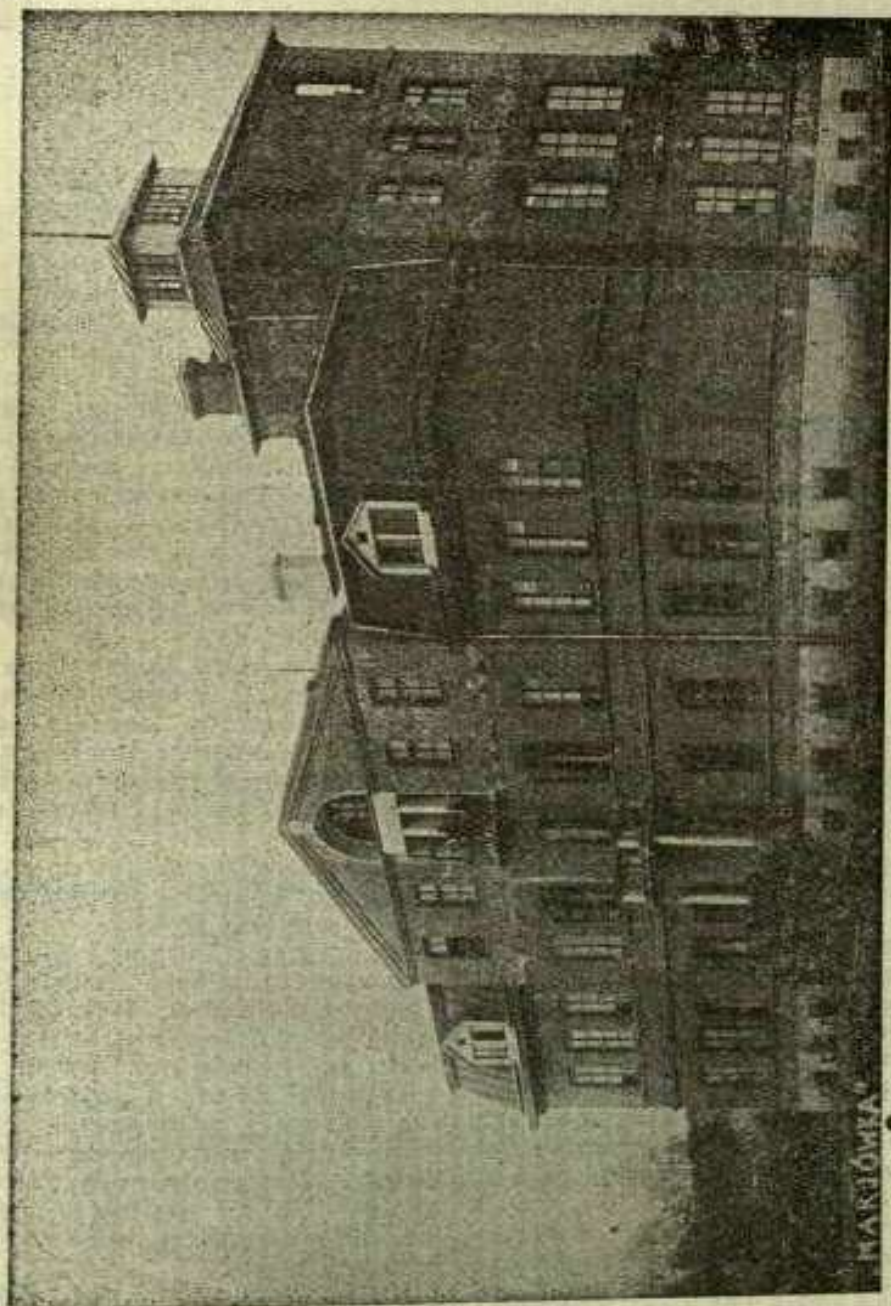
Kocham Hoffmanową za jej poświęcenie się sprawie szkolnictwa, za gorące umiłowanie serduszek dziecięcych, za świetlany przykład, jaki zostawiła nam przyszłym nauczycielkom. Nie chodzi Klementynie o „wkucie” w głowy dzieci wszelkiego rodzaju teoryj, formulek, ale dąży do uszlachetnienia duszy, do podniesienia jej ku prawdzie, ku temu, co piękne, wzniosłe i szlachetne.

Marzeniem moim jest umieć tak kierować serduszkami dzieci, by praca moja nad nimi nie była bezowocną, lecz by przyniosła stokrotny plon Ojczyźnie.

Czytając życiorys Hoffmanowej, żyłam z nią, zachwycalam się jej pełnem taktu postępowaniem i pragnęłam przejąć dla siebie wiele, wiele cech pięknych i wzniosłych, a przede wszystkim chcę się nauczyć cichego poddania się woli Boga z takim spokojem, jak ona.

Postępując jej śladami, dojdę napewno do celu, który woddali uśmiecha się tysiącem i barw i promieni, nęcąc myśl, która wyrывa się tam daleko, daleko...

Tak, cel daleko... ale ja już teraz w marzeniach dziewczęcych widzę się otoczoną gromadką dzieci, którym mówię o Bogu, o obowiązkach, o miłości Ojczyzny. Jam Polką przecie więc, widząc, że na tych małych, biedniutkich opiera się przyszłość Polski, dążę do wprowadzenia ich na drogę prawdy i szlachetności. Muszę przygotować je do trudnej drogi życia, aby z uśmiechem na ustach przeszły ją całą, nie bacząc na kolce i ciernie.



PRYWATNE SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIE ŻEŃSKIE
W MARJÓWCE OPATOWSKIEJ.

zawodu... Lecz, aby wpajać to w dzieci, muszę i ja wierzyć w jaśniejszą przyszłość, wierzyć na wzór Hoffmanowej. Praca ta będzie trudna, bardzo trudna, bo charakter mój tak się nie zgadza z świetlanym charakterem Klementyny Hoffmanowej, ale nie ułękę się tego trudu, pomnąc na słowa:

„Niczem się wyda każdy trud,
Jeśli ukochasz cnót idee
I z światłem prawdy pójdziesz w lud,
Gdzie złość i nędza były wprzód,
Tam dobro z szczęściem zajaśnieje.”

Tak, idąc za przykładem Hoffmanowej, będę szczęśliwą szczęściem drugich.

KRONIKA.

4 I-1928 r. Po miłych, kochanych dniach pobytu w domu powróciliśmy do równie kochanej Marjówki. Wprawdzie tam w domu ogromnie serdecznie i przytulnie, to jednak i tu nam nie brak ciepła opiekuńczego, a w dodatku tu bardziej jeszcze kształcimy nasze umysły i serca.

6 stycznia. Nie przypuszczaliśmy nawet, jaka nas czeka miła niespodzianka po powrocie do seminarjum. Otóż drugi kurs urządził „Jaselka,” które wyszły bardzo ładnie, a były też ładniejsze, że niespodziane.

8 stycznia. Na dzisiejszym zebraniu sodalicii, założonej u nas przed Bożem Narodzeniem przez księdza Kanonika, a podzielonej na sekcję charytatywną (mającą na opiece dzieci wiejskie) i katechetyczną (ćwiczącą się w przyszłej pracy katechetycznej) uchwalono wspólne dni zebrania sodalicii i sekcji.

15 stycznia. Ku naszej ogólnej radości pani Dyrektorka zezwoliła na wieczorowe lekcje polskich tańców pod kierownictwem nauczycielki gimnastyki p. G. Każdy poszczególny kurs ma wyznaczony odpowiedni dla siebie wieczór.

22 stycznia. Dziś wieczorem grupa towarzyska urządziła „wspólną kolację towarzyską,” po której nastąpiła rekreacja dla wszystkich innych uczennic.

... W otwartych drzwiach, ukazała się na stole sympatyczna rodzina karzełków: ojciec, matka i ich mała rozkoszna córeczka, ogromnie wesoła rozweselająca wszystkich. W trakcie tego pojawiła się para ludzi, cokolwiek innego pokroju, bo... wielkoludów. W poważnym marszu i niskich ukłonach przewędrowali nasi „wielcy staruszkowie” kilkakrotnie salę, a następnie, pożegnawszy nas powtórny ukłonem, opuścili ją.

Tak karzełki jak i wielkoludy wywołały dużo śmiechu i zadowolenia.

1 lutego. Ostatni dzień kolęd... Ponieważ mija czas ich śpiewania, przeto stają się one bardziej nam droższe. Co chwilę

więc z jednego lub drugiego kursu wrywa się dźwięczna melodia kolęd i ulatuje w górę, aby na rok przyszedł powrócić znów do nas wraz z Bożym Dziecięciem.

5 lutego. Odkryło się dziś walne zebranie Koła Samokształcenia „Jedność,” na którym koleżanka Chelchowska wygłosiła bardzo ładny referat pod tytułem: „Umilowanie prawdy,” a następnie poszczególne grupy złożyły sprawozdanie ze swych działalności.

16 lutego. Tłusty czwartek jest zarazem obfitującym w przeróżnego rodzaju figle.

Na jednym z kursów naprzykład zastały panie nauczycielki zamiast uczennic szereg sztywnych postaci, które tylko ze strojów przypominały żywe istoty.

Na innym znów kursie, gdy pani historyczka zapytała z lekcji jedną z uczennic, ta odpowiedź swą zaczęła od tych słów: „królowie polscy, ratujcie mnie!” Na to hasło brzęknęły pałasze, zaślnęły helmy i z katów kursu wysunął się mężny Boleśław Chrobry i Mieszko I, którzy wydobyli biedną ofiarę z ciężkiej opresji, zwracając uwagę na siebie i opowiadając swe pełne blasku minione chwile.

Do księdza Kanonika podczas etyki weszła zrozpaczona para małżonków wiejskich z prośbą o rozwód. Naturalnie ksiądz Kanonik pogodził obie strony i sprawa rozwodu szczęśliwie nie doszła do skutku.

To znów na lekcji polskiego pojawił się sam Skarga z rozwianymi włosy i w płomiennych słowach przypominał nam dawną Polskę. Następnie podczas lekcji gorąco apelował do p. l. aby wybaczyła nam wszelkie niedokładności wiedzy, kładąc to na karb młodości.

Na korytarzu zaś często mignęła czarna sylwetka jego djabelskiej mości, często też można było zauważyć jakąś zamaskowaną jejmościankę.

Wieczorem na sali rekreacyjnej para Kozaków zatańczyła ochoczo, pociągając następnie wszystkie inne uczennice do tańca.

Redaktorka odpowiedzialna: Irena Bagińska.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. PRZYSUCHA.

Druk szkoły rzemiosł w Marjówce